

OPOWIEŚĆ JANA PESZKA

Samotnik optymistyczny

Nie interesowała mnie kariera, ale samo granie.
Ono jest sensem życia – **JAN PESZEK**
opowiada o aktorskich upokorzeniach,
depresji i rozmawianiu z duchami

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA SZYMON SZCZEŚNIAK

NEWSWEEK: Oswaja się pan ze starością?

JAN PESZEK: Dlaczego?

Coraz częściej gra pan starych ludzi.

W „Błogich dniach” w Teatrze Ateneum – pensjonariusza domu starców, w krakowskiej „Miłości” – starego kłoszarda.

– W tych tekstach są tematy coraz mi bliższe, pojawia się pytanie o bilans życia, po głowie błąka się pytanie, jak będzie wyglądała starość. Jak się zestarzeje, czy odetnę się od świata? Starość kojarzy mi się z upokorzeniem, nie wyobrażam sobie siebie niedołęznego na scenie.

Boi się pan śmierci?

– Raczej obciążenia bliskich swoją osobą. Kiedy jedna osoba jest skazana na opiekowanie się drugą, odbywa się rodzaj teatru: koniecznej tolerancji, utraty cierpliwości, aż wreszcie zmęczenia i pewnego rodzaju heroizmu. Chciałbym tego uniknąć.

Skrócić życie?

– Tak, choć wiem, że w Polsce to trudne.

Pana syn, Błażej, powiedział mi, że jeszcze niedawno miał pan poczucie własnej niezniszczalności, ale coś się zmieniło.

– Wczoraj zamiast się uczyć nowej roli, wyłączyłem telefon i poszedłem na spacer. Potem sięgnąłem po książkę o starej Japonii, a po długiej lekturze zasnąłem. Kiedyś to było niemożliwe.

Przez lata najważniejsza była praca?

– Nigdy nie interesowała mnie kariera, ale samo granie. Ono jest sensem życia. Wyniosłem z domu przeświadczenie, że mężczyzna jest od polowania, a kobieta od pielęgnowania domowego ogniska. Mama nigdy nie pracowała, chciała być śpiewaczką operową, ale nie miała na to czasu, bo urodziła i wychowała sześćro dzieci.

Jak rodzice się poznali?

– Podczas wojny w Królewcu. Ojciec jako więzień pracował u niemieckiego dentysty. W tym samym domu pracowała matka, była na robotach. Prawdopodobnie poczęli mnie na terenie oflagu. Mama była piękną kobietą z uporządkowanego, sytego domu.

Ojciec nosił w sobie traumę rodzinną związaną z rzezią na Wołyniu. Jego matka prawdopodobnie spłonęła w swoim domu. Nigdy nie powiedział o tym wprost. Jest takie zdjęcie moich młodych rodziców, cali w czerni. Okazało się, że to ślubna fotografia. Ojciec przez 15 lat nosił żałobę po swojej matce, a moja mama z nim na znak solidarności. Kiedyś kazała uszyć suknię: czarną, ale ozdobioną amarantowymi węzami. Miała być na ich pierwszy bal po żałobie. Była szczęśliwa. Wieczorem zobaczyłem, jak w tej sukni podkłada do pieca i płacze. Tata zmienił zdanie, nie wyszli.





Po wojnie mieszkaliśmy w Andrychowie. Ojciec był dentystą w szpitalu i miał prywatną praktykę. Pracował bardzo dużo i w domu było wszystko, co trzeba. Kiedy inni nawet nie znali zapachu pomarańczy, my mieliśmy na święta całą skrzynkę. Ale dzieliliśmy się nimi, pakowaliśmy owoce w papier i roznosiliśmy sąsiadom.

Ojciec pomagał rodzinie ze Wschodu?

– Część jego przedwojennej wsi osiedlono nad Zalewem Szczecińskim. Czekali tam na jego wizytę przez cały rok. Najpierw było powitanie, obiad, potem ojciec zakładał biały kitel i ustawiała się do niego kolejka. Miał jakieś podstawowe znieczulenie, wiertarkę napędzaną nogą i zaczynało się wielkie rwanie i borowanie. Nad krzesłem dentystycznym przebiegał jakiś drut, na którym siedziały jaskółki. Obserwowałem całą scenę z poddasza i tylko czekałem, jak te jaskółki walną kupę w otwarte usta pacjentów ojca. I czasami tak się zdarzało.

Co pan odziedziczył po rodzicach?

– Po matce – temperament i umiłowanie życia. Po ojcu – najprawdopodobniej wszystkie mroki, które mimo wszystko mam. Jestem typem samotnika, ale optymistycznego. Poza tym do końca życia będę mu wdzięczny, że bardzo szybko przez radykalny charakter jego katolicyzmu ten katolicyzm ze mnie wypenił. Ale wierzę w potrzebę tradycji, jak i dobrego kontaktu ze zmarłymi. W naszym domu wiszą portrety zmarłych, pozdrawiam ich codziennie. Może dlatego łagodniej znoszę swoje myśli o śmierci? Często czuję obecność zmarłych. Młodsza siostra żony, która odeszła kilka lat temu, odwiedza mnie regularnie. Ja nawet wiem, kiedy ona przyjdzie. Gdy zaciągają mgły, siadam w kuchni z kieliszkiem nalewki i czuję, że ona chodzi naokoło mnie, czasami nawet słyszę, jak woła. Serce wali mi wtedy mocno, ale dobrze się czuję.

Jaki był ojciec?

– W domu podział był jasny, ojciec miał gabinet na piętrze, parter należał do dzieci. Kiedy schodził, ten gwarny dom zamierał, kiedy wracał do siebie, znów można było oddychać. Nie byłem bity ani maltretowany, ale posłuszeństwo było bezwzględne. I przestrzeganie zasad.

Raz poszedłem na film od 18 lat, kiedy do urodzin brakowało mi trzech miesięcy. To była „Miłość po południu” z Gregorym Peckiem. Zauważył mnie jakiś znajomy ojca i mu doniósł. Pamiętam, że kronikę oglądałem, drżąc z podniecenia, że uda mi się zobaczyć film dla dorosłych. Nagle światło się zapala i do sali wchodzi ojciec z tym panem, który wyciąga palec w moim kierunku i cała sala patrzy na mnie. Wychodzę i idziemy przez Andrychów w milczeniu, on sapie, przystaje, martwię się, czy nie dostanie zawału. Poszliśmy na plebanie, bo ojciec chciał poradzić się księdza, co ze mną zrobić.

Jakie mieliście relacje?

– Ojciec był sztywny nie do zniesienia. Trzymałem sztamę z mamą. Nie była wrogiem, ale też nie zaprzyjaźniła się z obecnym w domu katolicyzmem.

”Żona mówi, że gdy przychodzę po spektaklu, to mam gesty, głos jakiegoś innego faceta. Jestem zainfekowany postacią

Jako najstarszy syn był pan naturalnym następcą ojca w zawodzie dentysty?

– Ojciec był typem wojownika, który gwarantował rodzinie byt, i chciał, żeby bym był taki sam. W mieście go poważano i miałbym łatwy start. Zresztą od dzieciństwa wykonywałem proste technicznie dentystyczne prace, byłem przygotowywany do zawodu.

Zero buntu?

– Nie chciałem sprawiać mu przykrości. Proszę pamiętać, że byłem chłopcem z dobrego, sytego domu. Uwielbiałem przyrodę, znosiłem do domu ranne zwierzęta, robiłem bukiety Matce Boskiej, byłem ministrantem, zamierałem też zostać księdzem.

Aż w liceum wziąłem udział w konkursie recytatorskim, w amatorskim spekta-

klu. Granie było przyjemnością. Pewien aktor z Bielska-Białej zapytał, czy chcę zdawać do szkoły teatralnej.

Egzamin w Krakowie był kompromitacją?

– Ja w czarnym garniturze maturalnym sztytym na miarę, białej koszuli i takich samych chińskich trampkach, bo trzeba było mieć obuwie na miękkiej podeszwie.

Stylowo.

– Wtedy to był szczyt upokorzenia. Gdy wszedłem do szkoły teatralnej i zobaczyłem studentów chodzących po korytarzu i mówiących do siebie, poczułem się jak w domu wariatów.

Na egzaminie zażądano, żebym użył najgorszych słów, jakie przychodzą mi na myśl. Stać mnie było tylko na: „Nie pozwolę sobie w kaszę dmuchać!”. Ale tak się zdenerwowałem, że zamiast „w kaszę” powiedziałem „w ucho”. Komisja pokładała się ze śmiechu. Nie dostałem się, ale ktoś zrezygnował i wzięli mnie z listy rezerwowej.

W Krakowie spotkał pan Bogusława Schaeffera, kompozytora, o którym mówi pan, że ukształtował pana jako aktora.

– Będąc studentem drugiego roku, wszedłem do MW2, zespołu młodych wykonawców muzyki współczesnej. Ja, chłopak z małego miasta i tradycyjnej rodziny, wpadam w ręce mistrza prowokacji. Szczęka mi opadła. W MW2 występowałem gościnnie od 1964 roku. W 1972 roku pojechaliśmy do Londynu na awangardowy festiwal, przyjechali najwięksi: John Cage czy Merce Cunningham, na którego warsztaty się dostałem. Już na pierwszych zajęciach zaproponował, żeby się rozebrać do golasa. Wszyscy zrzucili majtki, tylko ja zostałem w swoich socjalistycznych slipach.

– Where are you from? – zapytał.

– Poland – wymamrotałem. – Aha – jakby wszystko zrozumiał. Tym doświadczeniem zablokowałem się na lata. Może siedział we mnie jeszcze ten katolicki system zakazów i pruderii? Paradoksalnie potem byłem wielokrotnie rozbierany przez reżyserów (Trelińskiego, Lupe, Grzegorzewskiego) i nie miałem z tym problemu, jeżeli było to artystycznie uzasadnione.

Mówi pan, że ma skórę nosorożca. Od kiedy tak jest?

– Po szkole trafiłem do Teatru Polskiego we Wrocławiu, gdzie grałem przez dziewięć lat, żyliśmy z żoną w luksusowym mieszkaniu, nieźle zarabiałem. I wtedy na występy gościnne przyjechała „Operetka” Kazimierza Dejmka. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Potem przyszło zaproszenie. Błażej miał pięć lat, Marysia – dwa, w 1975 roku przyjechaliśmy do Łodzi. Ulica Traktorowa, Bałuty, blokowisko. Mieszkanko na parterze nad śmietnikiem, smród i szczury. Żona Teresa staje na środku tej klatki i nagle z któregoś piętra lecą pomyje, rozbryzgują się na naszym oknie. Ona płacze, chociaż w Łodzi skończyła politechnikę i wie, że zawodowo na tym skorzysta.

Pan też.

– No właśnie nie. Kiedy podpisywałem umowę, Dejmek powiedział tylko: „Myślałem, że jest pan przystojniejszy”. Potem czekałem na rolę... Pół roku, rok, dwa... Rosło we mnie przerażenie, panika. Zacząłem wchodzić na zastępstwa do „Operetki” jako lokaj fikający nóżką. Dla kogoś, kto jeszcze niedawno grał duże role, to było upokarzające.

Porażka?

– Przez cztery lata jestem w rosnącej depresji. Bałuty, schyłek Gierka, tłum pędzi do mięsnego, bo rzucili pomarańcze, absurd. Wpadam w alkoholizm, jestem agresywny, nieobecny. Nauczony przez ojca, że muszę utrzymać rodzinę, zacząłem grać w szkołach składankę z wierszami Norwida, monodram, śpiewałem dla publiczności siedzącej na nocnikach, czyli w przedszkolach o 6.30 rano. Dla mnie, chłopaka z dobrego domu, rozpieszczonego, to był szok.

Po czterech latach dostałem od Mikołaja Grabowskiego, którego znałem z MW2, propozycję, żeby zagrać gościnnie w Teatrze Jaracza trzy jednoaktówki Sławomira Mrożka. Byłem tak spięty, poniżony, że położyłem główną rolę. A jednak chcieli mnie tam na stałe. W Jaraczu w ciągu dwóch lat wysypał się worek ról, które normalnie zalicza się w ciągu dekady: Chlesta-kow w „Rewizorze”, Bohater z „Kartoteki”.

Jednak przełomowa była rola Gonzala w „Trans-Atlantyku”.

– Gonzalo jest homoseksualistą, anarchistą. Mikołaj Grabowski pozwolił na improwizację. Powiedział mi na boku, że mam rozwalać wszystko, zaskakiwać kolegów, prowokować ich w trudny do zaakceptowania sposób. Szalałem na scenie, jakbym odreagowywał lata upokorzeń.

Udało się, a ja stałem się znany. Pan Aleksander Bardini dzwonił do mojej żony i pytał, gdzie mnie do tej pory chowała. Po latach Mariusz Treliński mówił, że na studiach w łódzkiej filmówce z grupą reżyserów i operatorów uciekał z zajęć, żeby oglądać ten spektakl. Nikt wcześniej tak jawnie nie wypowiadał się na temat tabu, jakim był homoseksualizm. Ale może trzeba było przeżyć te cztery lata upokorzeń, to one zbudowały mój pancerz.

Jak pan zniósł to, że dzieci zostaną aktorami?

– Z domu wyniosłem przekonanie, że dzieci nie wtajemnicza się w problemy dorosłych. Więc nie mówiliśmy im o niedogodnościach, jakie niesie moja praca, dlatego dzieci miały jej wyidealizowany obraz.

Maria zawsze chciała być artystką, Błażej raczej leśnikiem. Mieszkaliśmy już w Krakowie, kilka miesięcy przed maturą syna przyszedł do nas na obiad Tadeusz Łomnicki. „A ty kim będziesz?” – zapytał Błażeja. „Aktorem”. Łyżka mi wypadła z ręki. Byłem zaproszony na egzamin wstępny, oczywiście bez prawa głosu. Miałem wrażenie, że przeżywam kilka śmierci klinicznych, jedna po drugiej.

Jak się uczyło własne dzieci?

– Trudno. Błażewi brakowało pewności, ale kto wtedy wie, czy wybrał właściwy zawód. Miałem poczucie, że moje nadmierne wymagania mu się przydadzą, sprawdzą jego wytrzymałość. Studenci przychodzili do mnie i prosili: „Niech pan mu już da spokój i ocenia jak innych”. Marię uczyło się łżej, była bardziej przebojowa. Kiedyś Eric Douglas, amerykański aktor, syn Kirka Douglasa, był u nas w mieszkaniu w Krakowie i zapytał Błażeja wprost, czy zamierza zmienić nazwisko. „Ja tego nie zrobiłem i to był błąd” – mówił.

Wasza pierwsza wspólna praca?

– Koszmar. Wymarzyłem sobie, że wszyscy się spotkamy na scenie, Marysia, Błażej, Kasia – żona Błażeja, moja żona i ja. Oni byli młodymi aktorami, a ja żyłem w przekonaniu, że wiem, co jest dla nich dobre. Dochodziło do ostrych wymian zdań, krzyków, że już nigdy więcej, wyszły długo skrywane pretensje, animozje.

Przez całe życie powtarzałem sobie, że na pierwszym miejscu w życiu mężczyzny jest praca, dopiero potem rodzina. Długo nie mogłem się pogodzić, że Błażej nie chce się ruszać z Krakowa, aż zrozumiałem, że to jego wybór. Już od dawna mam takie poczucie, że nie należy się wtrącać, nadgorliwość, nadopiekuńczość są złe.

I dopiero wtedy się zaprzyjaźniliście?

– Tak, dziś nie mam nikogo z facetów, komu mógłbym tak zaufać jak Błażejowi. Lubię razem z nim jeździć na spektakle, ulatniamy się z domu. Spektakl trwa godzinę, pół godziny próba, a reszta dla nas. Zawsze dużo czasu zajmuje nam wybór restauracji, a jeszcze więcej studiowanie menu. Bardzo długo się zastanawiamy, co wybrać, to naprawdę poważne decyzje.

Błażej mówił, że w domu był pan miłym despotą, bardzo wymagającym. Złagodniał pan?

– Tak dzieci mówią. Ja mam zupełnie inny obraz przeszłości. W moim przekonaniu byłem o wiele łagodniejszym ojcem dla mojego syna niż mój ojciec dla mnie.

Ale w samochodzie dalej pan klnie?

– To wynika z mojego temperamentu. Przecież kierowca, pod którego adresem rzucam przekleństwa, wcale tego nie słyszy. Żona ma mi za złe, że tak robię, ale nie widzę problemu. W przypadku aktora taki wentyl bezpieczeństwa jest bardzo ważny. Nie można się zatkać, bo inaczej aktor wariuje. Dzięki temu mam poczucie, że moje role nie wpływają na moje życie.

Żona jest tego samego zdania?

– Nie. Mówi, że gdy przychodzę po spektaklu, to mam gesty, głos jakiegoś innego faceta. Jestem zainfekowany postacią. Kiedy zbliża się premiera, Teresa mnie unika. Urzęduje u siebie w pokoju na pię-



”Mam 75 lat, czasami jestem zmęczony, mówię: mam dość. Ale jak wychodzę na scenę, staję się nowym człowiekiem

trze. Wie, że wtedy łatwo o zatarg. Dawniej w dniu premiery sprzątałem od rana mieszkanie, teraz pracuję w ogrodzie albo jadę po drewno do kominka, idę na kilkugodzinny spacer z kijami, żeby się zmęczyć i nie myśleć za dużo.

Zmęczony aktor jest bardziej skuteczny. Wtedy ustają aspiracje, a one są największym wrogiem aktora.

Wyobraża pan sobie życie bez grania?

– Tak, ale na razie to nie wchodzi w rachubę. Mnie za każdym razem strasznie ciekawi człowiek, którego gram. „Scenariusz dla nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego” Bogusława Schaefera gram od 43 lat i ciągle mam wrażenie, że nie powiedziałem w nim ostatniego sło-

wa. Wierzę, że mogę to zagrać jeszcze inaczej. I ciągle produkuję kolejne spektakle, już nawet tytuły trudno zapamiętać.

Ale może gra pan za dużo. „Nierzadko schodzi z wyższych pięter na parter i występuje w jakichś wątpliwych serialach, drugorzędnych filmach, niekoniecznych przedstawieniach. Ba, i na dubbingi do kreskówek ochoczo się godzi” – pisał o panu Tadeusz Nyczek.

– Mnie intryguje coś nowego, coś, czego nie robiłem.

Nie grałem nigdy w farsie i jeżeli proponuje mi ją Krystyna Janda, to mam ochotę spróbować. I okazuje się, że na scenie nie mam poczucia, że biorę udział w czymś gorszego gatunku. Często te nadęte spektakle z etykietami „dzieł sztuki” są po prostu nędzne. Poza tym nie mam nic przeciwko literaturze lżejszej, użytkowej, ona jest dobrym materiałem dla aktora. Wielkie teksty stawiają nas na baczność, a te po prostu nieźle napisane dają materiał do grania, także refleksji i po prostu dają uczucie oddechu.

Spędził pan na scenie ponad 50 lat.

Jaką zapłacił pan cenę?

– Żadnej, aktorstwo mnie stabilizuje, podpowiada rozwiązania wielu problemów. Jasne, że nie byłem przy wielu sytuacjach w życiu moich dzieci. Ale niczego nie żałuję. To tak jakby zapytać, ile poświęciłem życiu. Życie się przeżywa. Mam 75 lat, czasami jestem zmęczony, mówię: mam dość. Ale jak wychodzę na scenę, wszystko pryska. Staję się nowym człowiekiem. Choć zjadłem zęby na tym zawodzie, pewnych rzeczy w aktorstwie nadal nie rozumiem i nie zamierzam zrozumieć.

jacek.tomczuk@newsweek.pl

JAN PESZEK, ROCZNIK 1944, JEST AKTOREM, PEDAGOGIEM W AKADEMII SZTUK TEATRALNYCH W KRAKOWIE. GRAŁ U NAJSŁYNNIEJSZYCH POLSKICH REŻYSERÓW TEATRALNYCH I FILMOWYCH: ANDRZEJA WAJDY, MIKOŁAJA GRABOWSKIEGO, JERZEGO JAROCKIEGO, KRYSZTIANA LUPY, MARIUSZA TRELIŃSKIEGO CZY GRZEGORZA JARZYN